

Karain: wspomnienie

## I

Znaliśmy go w owych czasach pełnych bujności i swobody, kiedy wystarczało nam to, że byliśmy panami swego życia i majątku. Obecnie chyba nikt z nas majątku nie posiada, niektórzy zaś przenieśli się lekkomyślnie na tamten świat; ale jestem pewien, że ci nieliczni, którzy pozostają jeszcze przy życiu, zachowali wzrok dość bystry, aby przy czytaniu dzienników o solidnej reputacji i treści dość mglistej – nie pomijać wzmianek o różnych malajskich powstaniach na Wschodnim Archipelagu. Blask słońca bije spośród wierszy tych krótkich notatek – blask słońca i lśnienie morza. Jakieś dziwne imię budzi wspomnienia; drukowane słowa czuć z lekką dydymą naszej atmosfery, lecz bije od nich zarazem subtelny i przenikliwy zapach nadbrzeżnych powiewów ciągnących pod gwiazdzistym niebem dawno minionych nocy; ognisko-sygnal błyszczący jak klejnot na wyniosłym czole ciemnej skały; wielkie drzewa – niby wysunięte naprzód placówki olbrzymich lasów – stoją czujnie i cicho nad sennymi rozlewiskami szerokich wód; biały przypływ grzmi o pusty brzeg, pieni się płytka woda między skałami, a zielone wysepki leżą o cichej, południowej godzinie rozsypane po morskiej gładzi jak garść szmaragdów rzucona na stalową tarczę.

Majaczą mi się i twarze – ciemne, srogie, uśmiechnięte; szczere, śmiałe twarze ludzi bosych, zbrojnych

i cichych. Zapełniali wąski a długi pokład naszego szku-nera barbarzyńskim, strojnym tłumem, który mieniać się pstrymi barwami kraciastych sarongów, czerwonych zawojów, białych kaftanów, haftów – rozsiewał błyski pochew, złotych pierścieni, amuletów, naramienników, lanc i rękojeści sadzonych drogimi kamieniami. Ludzie ci zachowywali się swobodnie a powściągliwie, z oczu pa-trzyła im stanowczość; i – zda się – słyszymy jeszcze łą-godne głosy, które mówią o bitwach, podróżach, uciecz-kach; przechwalają się statecznie, żartują ze spokojem; niekiedy sławią w wyszukanych słowach własną odwagę lub naszą hojność, albo z lojalnym zapałem wynoszą pod niebiosa cnoty swojego władcy. Pamiętamy twarze, oczy, głosy, widzimy znów połysk jedwabiu i metali, patrzy-my na szemrzące rozkołysanie tej ciżby – wspaniałej, świątecznej, wojowniczej; i czujemy, zda się, dotknięcie przyjaznych, brudnawych rąk, które – po krótkim uści-sku – kładą się z powrotem na cyzelowanej rękojeści.

Byli to ludzie Karaina – wierni mu i oddani. Łowili swoje ruchy na jego ustach; czytali swoje myśli w jego oczach; gdy mruknął do nich niedbale o życiu i śmierci, przyjmowali jego słowa w pokorze, jak wyroki przeznaczenia. Wszyscy byli ludźmi wolnymi, a zwracali się do niego, mówiąc: „twój niewolnik”. Z nadejściem władcy uciszały się głosy, jakby go strzegło milczenie; korne po-szepty szły za nim. Zwali go swoim wodzem. Był panem trzech osad na wąskiej płaszczyźnie, władcą nieznacznego skrawka ziemi – zdobytego skrawka ziemi – który

na kształt księżycowego sierpa leżał zapomniany między pasmem wzgórz a morzem.

Z pokładu naszego szkunera, zakotwiczonego w środku zatoki, Karain wyciągał ramię ku poszarpanym zarysom wzgórz, obejmując teatralnym ruchem całą przestrzeń swej dziedziny. Ten szeroki ruch zdawał się odsuwać wstecz granice jego władztwa, powiększając je naraz do olbrzymich i nieokreślonych rozmiarów; zdawało się nam przez chwilę, że tylko niebo stanowi jego granice. I rzeczywiście: patrząc na to miejsce zamknięte skałami ze strony morza i odgradzone od lądu stromymi zboczami gór, trudno było uwierzyć w istnienie jakiegokolwiek sąsiedztwa. Był to zakątek cichy, stanowiący całość sam w sobie, nieznany i pełen życia, które tętniło potajemnie, sprawiając niepokojące wrażenie pustki; które w niewytłumaczony sposób zdawało się pozbawione wszystkiego, co mogłoby pobudzić myśl, wzruszyć serce, przypomnieć złowróżbne następstwo dni. Ten zakątek wydawał się nam krajem bez wspomnień, żalów i nadziei; krajem, gdzie nic nie mogło przetrwać nadejścia nocy i gdzie każdy wschód słońca – niby oddzielny, olśniewający akt stworzenia – był oderwany i od wczoraj, i od jutra.

Karain zatoczył ręką łuk w kierunku swego państwa. „Wszystko to moje!”. Stuknął w pokład długą laską; złota jej gałka zabłysła jak spadająca gwiazda; stojący tuż za nim stary Malaj w bogato haftowanym, czarnym kaftanie, jeden jedyny z całej świty nie powiódł oczami za

władczym gestem. Nie podniósł nawet powiek. Stał nieruchomo za swym panem z głową spuszczoną, trzymając na prawym ramieniu długą klingę w srebrnej pochwie. Pełnił służbę obojętny na wszystko. Zdawało się, że coś mu ciąży – ale nie brzemie wieku; że ugina się raczej pod ciężarem tajemnicy życia. Karain, ociężały i pełen wspaniałości, stał w pozie wyniosłej i oddychał spokojnie. Była to nasza pierwsza wizyta; rozglądaliśmy się z ciekawością.

Zatoka wyglądała jak bezdenne jama, pełna jaskrawego światła. Okrągły płat wody odbijał świetliste niebo, a zamykające go brzegi tworzyły matowy pierścień z ziemi, zawieszony w przejrzystej pustce błękitu. Łańcuch wzgórz, fioletowych i nagich, odrzynał się ciężko na niebie; szczyty zdawały się rozplýwać w barwnym drganiu, niby owiane wznoszącą się parą; u stóp stromych zboczy, pokreślonych zielenią wąskich rozpadlin, leżały pola ryżowe, plantacje, żółte piaski. Strumień wił się jak upuszczona nitka. Grupy drzew owocowych wskazywały miejsca wiosek; smukłe palmy łączyły głowy nad niskimi chatami; dachy z suchych liści palmowych jaśniały z dala, za ciemną kolumnadą pni, niby dachy ze złota; barwne postacie przesuwały się, szybko znikając; dym z ognisk tkwił prostopadle nad gąszczami kwitnących krzewów; bambusowe płoty połyskiwały, biegnąc w łamanych liniach między polami. Nagły okrzyk na wybrzeżu dźwięczał żałościwie w oddali i milkł, niby zduszony ulewą światła; lekki podmuch znaczył się błyskawicą

ciemności na gładkiej wodzie, owiewał nasze twarze i przepadał. Nic się nie poruszało. Olśniewający blask spływał w świetlistą kotlinę, pełną barw i ciszy.

Tak wyglądała scena, po której stąpał Karain, przybrany wspaniale dla odegrania swej roli, pełen niezrównanego dostojęstwa, wylbrzymiony przez szczególną, wrodzoną mu siłę, która wzbudzała w ludziach bezsensowne oczekiwanie, że stanie się coś bohaterskiego i buchnie czynem lub pieśnią na wibrujące tło cudownego słońca. Uderzający był – i zagadkowy; nie umieliśmy bowiem zdać sobie sprawy, czy te wymyślne pozory nie kryją jakiejś okropnej pustki. Nie można o nim powiedzieć, aby chodził w masce; za wiele było w nim życia, a maska jest rzeczą bezduszną; lecz występował zasadniczo jak aktor, jak ludzka istota utajona za wyzywającym przebraniem. Najdrobniejsze jego czyny były obmyślane i niespodziane, przemowy poważne, a zdania – pełne złowróźbnych aluzji i zawiłe jak arabeski. Traktowano go z uroczystą czcią, którą bezceremonialny zachód obdarcza monarchów tylko na scenie; a przyjmował tę głębokie hołdy z niezachwianym dostojęstwem, jakie widuje się jedynie w świetle kinkietów – w skondensowanej i fałszywej atmosferze jaskrawego tragizmu. Trudno było pamiętać, kim on jest rzeczywiście: naczelnikiem drobnego plemienia w zatraconym kącie Mindanao, gdzie mogliśmy ze względnym bezpieczeństwem łamać prawo zabraniające dostarczania krajowcom broni palnej i amunicji. Co by nastąpiło, gdyby która z obumarłych

hiszpańskich kanonierek, tknięta prądem galwanicznym, ożyła nagle do czynnego życia – ta kwestia przedstawiała nas obchodzić z chwilą, gdy znaleźliśmy się wewnątrz zatoki – tak dalekie państwo Karaina zdawało się leżeć poza obrębem wścibskiego świata; a przy tym mieliśmy w owych czasach dość żywą wyobraźnię i zaprawialiśmy się z pewnego rodzaju wesołą obojętnością na perspektywę, że powieszą nas gdzieś chyłkiem, nie narażając się na dyplomatyczne interwencje. Co się zaś tyczy Karaina, mogło go spotkać tylko to, co spotyka nas wszystkich – przegrana i śmierć; odznaczał się jednak pewną szczególną właściwością: otaczała go zawsze złuda niezawodnego powodzenia. Wydawał się zbyt wspaniały, zbyt potrzebny – stanowił zanedo niezbędny warunek istnienia swego państwa i ludu, aby mogło go coś unicestwić – chyba tylko trzęsienie ziemi. Był wcieleniem swej rasy, swego kraju, żywiołu namiętnego życia i tropikalnej przyrody. Posiadał jej bujną siłę, jej czar; i – podobnie jak ona – krył w sobie zaród niebezpieczeństwa.

Po wielu kolejnych odwiedzinach poznaliśmy dokładnie scenę, na której występował – fioletowe zakole wzgórz, smukłe drzewa pochylone nad chatami, żółte piaski, płynną zieleń wąwozów. Wszystko to miało surowy i olśniewający koloryt malowanej dekoracji, jej celowość prawie przesadną i podejrzaną nieruchomość; a scena ta stanowiła tak idealne tło dla zdumiewającego widowiska, jakim był Karain, że reszta świata zdawała się

wyłączona na zawsze ze wspianego przedstawienia. Nic nie mogło istnieć poza tym. Odnosiło się wrażenie, że ziemia odsuwa się, wirując, coraz dalej, rzuciwszy w przestrzeń tę kruszynę swojej powierzchni. Karain wydał się odcięty od wszystkiego – prócz słońca – a nawet i słońce było jakby tylko dla niego stworzone. Gdy raz zapytałem, co się znajduje po drugiej stronie wzgórz, odrzekł ze znaczącym uśmiechem: „Przyjaciele i wrogowie – liczni wrogowie; inaczej dłaczegożbym kupował wasze strzelby i wasz proch?”. Takim był zawsze – odmierzał słowa ze wzorowym taktem, stosując się wiernie do pewników i tajemnic swego otoczenia. „Przyjaciele i wrogowie” – nic poza tym. Pojęcie nieuchwytnie i szerokie. Ziemia toczyła się zaiste coraz dalej, usunąwszy się spod jego kraju, i oto pozostał z garścią swojego ludu, otoczony bezgłośnym zamętem – jak gdyby jego państewko było oazą w świecie swarliwych cieni. I rzeczywiście, żaden dźwięk z zewnątrz nie przedostawał się za łańcuch wzgórz. „Przyjaciele i wrogowie!”. Mógł być dodać: „i wspomnienia” – przynajmniej o ile chodziło o niego samego – lecz nie uczynił tego wówczas. Dowiedzieliśmy się o tym później, ale już po ukończeniu codziennego przedstawienia – za kulisami, że się tak wyrażę, i po zgaszeniu świateł. A tymczasem roztaczał na scenie swój barbarzyński majestat.

Przed jakimi dziesięciu laty Karain poprowadził na zdobycie zatoki swój lud, garść zebranych przygodnie wędrownych Bugisów – a teraz pod jego dostojną pieczę



poddani zapomnieli o przeszłości i zbyli się wszelkiej troski o przyszłość. Obdarzał ich mądrością, radą, nagrodą, karą, życiem lub śmiercią, zachowując zawsze niezachwianą pogodę w mowie i wyglądzie. Znał się na nawadnianiu pól i sztuce wojennej, na broni i budowaniu statków. Umiał zataić swoje uczucia; miał więcej wytrwałości niż którykolwiek z jego poddanych, potrafił pływać dłużej i lepiej sterować łodzią; a strzelał celniej i prowadził układy bardziej zawile od wszystkich ludzi z jego rasy, jakich zdarzyło mi się spotkać. Był to morski awanturник, wygnaniec, władca – i mój serdeczny przyjaciel. Życzę mu nagłej śmierci wśród walki, śmierci w blasku słonecznym, albowiem zakosztował władzy i wyrzutów sumienia, a żaden człowiek nie może więcej od życia wymagać. Dzień po dniu zjawiał się przed nami, niezachwianie wierny scenicznej perspektywie, a o zachodzie pochłaniała go noc, jak spuszczone kurtyna. Porysowane wzgórza zamieniały się w czarne cienie, sterczące wysoko na czystym niebie; nad nimi błyszczący bezład gwiazd podobny był do obłąkanego zamętu, uciszonego jednym gestem; wszelkie dźwięki milkły, ludzie usypiali, kształty się rozpływały – i pozostawała tylko istota wszechświata – przedziwna otchłań mroku i świetlistych migotów.

## II

Dopiero nocą mówił z nami otwarcie, zapominając o wymaganiach scenicznej etykiety. Za dnia rozprawialiśmy uroczyście o interesach. Na początku naszej znajomości dzieliła go ode mnie jego wspaniałość, moje nikczemne podejrzenia i sceniczny krajobraz, który wdzierał się do realnego życia i przesłaniał je fantastycznością barw i kształtów. Liczna świta tłoczyła się wkoło Karaina; nad jego głową szerokie ostrza włóczni tworzyły najeżoną aureolę z żelaza; odgrażał go od ludzkości połysk broni, lśnienie jedwabi, podniecony i korny gwar zapalczywych głosów. Przed zachodem słońca żegnał nas ceremonialnie i odjeżdżał pod czerwonym parasolem, otoczony orszakiem dwudziestu łodzi. Wszystkie wiosła błyskały jednocześnie, zanurzając się z potężnym pluskiem, który rozbrzmiewał głośnym echem we wspaniałym amfiteatrze wzgórz. Szeroki strumień olśniewającej piany włókł się za flotyllą. Łodzie wydawały się bardzo czarne wśród białego syku wody; głowy w zawojach chyliły się w tył i naprzód; mnóstwo ramion w czerwonych i żółtych rękawach wznosiło się i opadało jednym ruchem; włócznicy stojący w tyle łodzi mieli barwne sarongi i ramiona błyszczące jak u brązowych posągów; strofy pieśni, skandowanych półgłosem przez wiosłarzy, kończyły się w miarowych odstępach żalonym krzykiem. Orszak małał w oddali, urywała się

pieśń; wysiadali i roili się na brzegu wśród długich cieni padających od zachodnich wzgórz. Promienie słońca ociągały się jeszcze, lgnąc do purpurowych szczytów; widzieliśmy wyraźnie Karaina wiodącego orszak ku swemu częstokołowi. Szedł z gołą głową, wielki i ocieężał, wyprzedzając o dobry kawał luźno rozsypaną świętę i podpierał się miarowo hebanową laską sięgającą mu wyżej głowy. Mrok gęstniał szybko; pochodnie błyskały od czasu do czasu za krzakami; kilka razy rozległy się przeciągłe nawoływania w wieczornej ciszy i wreszcie noc zaciągała gładką zasłonę na wybrzeże, światła i głosy.

Potem, gdy zabieraliśmy się już do spoczynku, wartownik szkunera okrzykiwał daleki plusk wiosł w gwiazdystym mroku zatoki; jakiś głos odpowiadał mu ostrożnie, a nasz serang, wtykając głowę przez otwartą lukę świetlną, oznajmiał bez zdziwienia: „To radża przyjsć. On już tu być”. Karain ukazywał się bez szmeru na progu małej kabiny. Wydawał się wówczas uosobieniem prostoty – odziany w biel, z zawojem na głowie; za całą broń miał tylko kris o zwyczajnej rogowej rękojeści, przy czym zasłaniał go uprzejmie fałdą saronga, nim próg przestąpił. Za jego plecami widniała zawsze zniszczona i ponura twarz starego Malaja noszącego miecz – twarz pokryta tak gęstymi zmarszczkami, że zdawała się patrzeć skroś oczek cienkiej, ciemnej siatki. Karain nie ruszał się nigdzie bez tego zausznika, który stał tuż za nim albo przysiadł na piętach. Radża nie lubił czuć za sobą otwartej przestrzeni. A nawet więcej niż nie lubił;

zdawało się po prostu, że się lęka – że niepokoi go to, co się dzieje za jego plecami. Nie mogliśmy tego zrozumieć wobec jawnej i zapamiętałej wierności, jaka go otaczała. Znajdował się przecież sam wśród oddanych mu ludzi; nie czyhały na niego ani sąsiedzkie zasadzki, ani braterskie ambicje, a jednak niejeden z naszych gości zapewniał, że władca nie znosi samotności. Mówili nam: „Nawet kiedy je albo śpi, jest przy nim zawsze na straży człowiek, który posiada broń i siłę”. I rzeczywiście zawsze mu ktoś towarzyszył – ale nasi informatorzy nie mieli wyobrażenia ani o broni, ani o sile tego strażnika, które były zaiste ciemne i straszliwe. Przekonaliśmy się o tym, ale dopiero później, słuchając pewnego opowiadania.

Zauważyliśmy tymczasem, że nawet podczas najważniejszych rozmów Karain wzdrygał się często i, przerywając swoje wywody, sięgał w tył nagłym ruchem, aby się przekonać, czy stary Malaj jest za nim. A stary Malaj, tajemniczy i znużony, był zawsze na stanowisku. Dzielił pożywienie władcy, jego spoczynek, jego myśli; znał jego plany, strzegł jego tajemnic i – niewzruszony wobec wzburzenia swego pana, nie drgnąwszy nawet, szeptał mu kojąco nad głową jakieś nieuchwytnie słowa.

Dopiero gdy Karain znalazł się na szkunerze, otoczony białymi twarzami, wśród nieznanych sobie dźwięków i przedmiotów, zdawał się zapominać o dziwnym niepokoju, który wił się jak czarna nić przez wspaniałość i pompę jego publicznego życia. Nocą zachowywaliśmy się wobec władcy w sposób swobodny i niewymuszony,

nie posuwając się jednak aż do klepania go po plecach, istnieją bowiem poufałości, których należy się wystrzegać w stosunku do Malaja. Oświadczył nam, że podczas tych wizyt jest tylko człowiekiem prywatnym, który przybywa w odwiedziny do ludzi równych sobie urodzeniem. Zdaje się, że miał nas aż do końca za tajnych wysłanników rządu popierających za pomocą nielegalnego handlu jakiś plan wysoce dyplomatyczny. Nasze zaprzeczenia i protesty były bezskuteczne. Uśmiechał się tylko uprzejmie a dyskretnie i zapytywał o królową. Każda wizyta rozpoczynała się od tego pytania; żądny był wszelkich szczegółów o niej; czarował go urok władczyni, której berło rzucało cień sięgający z zachodu przez ziemię i morza – aż hen daleko poza pięćdziesiąt ziem zdobytą przez Karaina. Wymyślał coraz to nowe pytania; nigdy nie był syty wiadomości dotyczących się monarchini, a mówił o niej z podziwem i rycerską czcią – z pewnym rodzajem tkliwości i grozy. Dowiedzieliśmy się później, że był synem kobiety, która przed wielu laty rządziła małym państwem bugiskim i wpadliśmy na domysł, że widać pamięć o matce – a wspominał ją zawsze z zachwytem – stapiała się niejako w jego umyśle z wyobrażeniem, które usiłował sobie wytworzyć o dalekiej królowej, zwanej przez niego Wielką, Niezwyciężoną, Pobożną i Szczęśliwą. Musieliśmy w końcu wymyślać różne szczegóły, aby nasycić jego natrętną ciekawość; należy to wybaczyć naszej lojalności, gdyż usiłowaliśmy dostroić informacje do wzniosłego i wspaniałego ideału, jaki

sobie Karain wytworzył. Rozmawialiśmy bez końca. Noc przesuwała się nad nami, nad cichym szkunerem, nad śpiącym łodem i nad bezsennym morzem, które grzmiało wśród skał na zewnątrz zatoki. Wioślarze Karaina – dwaj zaufani ludzie – spali w łodzi u stóp okrętowej drabiny. Stary zausznik, zwolniony ze swego obowiązku, drzemał na piętach, oparłszy się plecami o odrzwia; a Karain siedział rozparty w drewnianym fotelu pod z lekka rozkołysaną lampą – z cygarem w ciemnych palcach – przed szklanką pełną lemoniady. Bawił go syk ulatniającego się gazu; pociągnąwszy jeden lub dwa łyki, czekał aż się napój wyszumi, po czym z dwornym ruchem ręki prosił o świeżą butelkę. Dziesiątkował nasz skromny zapas, lecz gościliśmy go chętnie, bo rozgadywał się, opowiadał bardzo interesująco. Musiał być ongi wielkim bugiskim dandysem, gdyż nawet w owym czasie (a znaliśmy go już w wieku późniejszym) – nieskazitelna czystość cechowała zawsze wspaniały jego strój, a włosy barwił na kolor jasnobrazowy. Spokojne dostojeństwo jego obejścia zamieniało źle oświetloną kajutę na salę posłuchań. Mówił o sprawach polityki na archipelagu z bystrością pełną ironii i melancholii. Napodróżował się mnóstwo, wiele przeszedł – spiskował, walczył. Znał tutejsze dwory, osady europejskie, lasy, morze i – jak się sam wyrażał – rozmawiał swego czasu z wielu sławnymi ludźmi. Lubił ze mną gawędzić, ponieważ znałem niejednego z owych potentatów; zdawał się sądzić ze wspaniałą pewnością siebie, że umiem ocenić jego wielkość i orientuję się, o ile

on sam stoi wyżej od innych znakomitości. Ale chętniej jeszcze rozmawiał o swoim kraju rodzinnym – małym państewku bugiskim, leżącym na wyspie Celebes. Ponieważ byłem tam na jakiś czas przedtem, rozpytywał mnie usilnie o szczegóły. Gdy podczas rozmowy wypływały imiona różnych ludzi, mówił o tym lub owym: „Pływałem z nim w zawody, gdy byliśmy chłopcami”; albo: „Polowaliśmy razem – władał pętlą i włócznią równie dobrze jak ja”. Niekiedy toczył niespokojnie wielkimi, sennymi oczami; marszczył brwi, albo uśmiechał się albo zamyślał i, patrząc przed siebie w milczeniu, kiwał z lekka głową ku jakiejś nieodżałowanej wizji z lat minionych.

Matka jego rządziła ongi niewielkim, na wpół niezależnym państewkiem na wybrzeżu zatoki Boni. Opowiadał o niej z dumą. Była to kobieta pełna zdecydowania w sprawach państwa tudzież własnego serca. Po śmierci pierwszego męża, nie zastraszona hałaśliwą opozycją swych wodzów, poślubiła bogatego kupca z plemienia Korinchi, człowieka o niskim pochodzeniu. Karain był jej synem z drugiego małżeństwa, lecz niefortunna ta okoliczność nie miała snadź nic wspólnego z jego wygnaniem. Przyczyn tego wygnania wcale nam nie wyjawiał, choć raz wymknęło mu się z westchnieniem: „Ha! Kraj mój nie poczuje już nigdy ciężaru moich kroków”. Ale opowiadał chętnie dzieje swych wędrowek i opisał nam szczegółowo zdobycie zatoki. Napomknąwszy o plemienu mieszkającym za pasmem wzgórz, rzekł raz cicho

i łagodnie z niedbałym ruchem ręki: „Przyszli przez góry, aby walczyć z nami; ale ci, którzy uciekli, nie powrócili już nigdy”. Zamyślił się na chwilę, uśmiechając się do siebie. „Bardzo niewielu uciekło” – dodał z pogodną dumą. Kochał wspomnienia swych powodzeń; żywił radosny zapał do czynu; gdy opowiadał, wygląd jego był wojowniczy, rycerski i wzniosły. Nic dziwnego, że lud go wielbił. Widzieliśmy raz, jak szedł w blasku dnia między chatami osady. Gromadki kobiet stojących we drzwiach oglądały się za nim z cichym szczebiotem i błyszczącymi oczami; zbrojni ludzie ustępowali mu z drogi, prostując się w postawach pełnych czci; inni podchodzili z boku, zginając karki, aby przemówić doń pokornie; stara kobieta stojąca w ciemnej framudze drzwi, wyciągnęła chude ramię i zawołała: „Błogosławiona twoja głowa!”. Jakiś człowiek o ognistych oczach wychylił przez niskie ogrodzenie plantacji mokrą od potu twarz i piersi przeorane dwiema bliznami. Krzyknął zdyszczonym głosem w ślad za nim: „Boże, daj zwycięstwo naszemu władcy!”. Karain szedł prędko, stawiając długie, pewne kroki i odpowiadał na sypiące się zewsząd powitania szybkimi, przelotnymi spojrzeniami. Dzieci biegly naprzód wśród chat i wyglądały lęklonie zza węglów; młodzi chłopcy trzymali się na jednej linii z władcą, przemykając się między krzewami, a oczy ich błyszczały wśród ciemnych liści. Stary zauszniak, dzierżąc srebrną pochwę na ramieniu; sunął prędko tuż za Karainem z głową spuszczoną i oczami wbitymi w ziemię. Przechodzili szybko, skupieni wśród



ogólnego poruszenia, niby dwaj ludzie dążący śpiesznie przez pustkowie.

W sali narad wojennych otaczali Karaina poważni zbrojni dowódcy, starzy zaś wojownicy w bawełnianych szatach przysiadali na piętach w dwóch długich rzędach, z rękami zwisającymi beczynn timer z kolan. Pod strzechą wspartą na gładkich kolumnach – z których każda kosztowała życie smukłą, młodą palmę – woń kwitnących żywopłotów przepływała ciepłą falą. Słońce zniżało się. Na otwarty dziedziniec wchodziłi suplikanci, wznosząc już w oddali złączone ręce ponad schylone głowy i gnąc się nisko w jasnym potoku światła. Młode dziewczęta z kwiatami na kolanach siedziały pod wielkim drzewem, w cieniu szeroko rozpostartych konarów. Niebieski dym ciągnął od ognisk i powlekał przejrzystą mgłą spadziste dachy chat o połyskliwych ścianach plecionych z trzciny; wokół nich bieglły słupy z grubo ciosanych pni podpierające pochyły okap. Karain sprawował sądy w cieniu drzew; tronując na wysokim siedzisku, wydawał rozkazy, udzielał rad lub napomnień. Gwar pochlebnych głosów wzrastał się od czasu do czasu, a beczynni włócznicy – którzy stali wsparci niedbale o słupy, przypatrując się dziewczętom – odwracali z wolna głowy. Żaden mąż nie żył pod osłoną takiej czci, zaufania i grozy. A jednak pochylał się chwilami i nasłuchiwał – niby dalekiego echa jakiejś zwady; czekał – zda się – że usłyszy czyjś cichy głos lub szelest lekkich kroków; czasem na wprót porywał się z krzesła, jak gdyby

ktoś poufale dotknął jego ramienia. Rzucił w tył trwożne spojrzenie; stary zausznik szeptał mu do ucha nieuchwytnie słowa, a wodzowie odwracali oczy – bo oto stary czarownik, człowiek rozkazujący widmom i zsyłający złe duchy na nieprzyjaciół, przemawiał do władcy. W krąg ciszy zalegającej dziedziniec szumiały z lekka drzewa; cichy śmiech dziewcząt bawiących się kwiatami tryskał kaskadą radosnych dźwięków. Na szczytach wysokich drzew długie pęki barwionego włosia mieniły się w podmuchach wiatru przejrzystą purpurą, a strumień o kryształowej, raczej wodzie, płynący za jaskrawym kwieciami żywopłotów, toczył się niewidzialny i głośny pod zwisającą trawą wybrzeża, szemrząc coś namiętnie i łagodnie.

Po zachodzie słońca widać było z dala – poprzez pola i zatokę – pochodnie gorejące pod wysokim dachem szopy przeznaczonej na narady. Dymiące czerwone płomienie chwiały się na wysokich żerdziach; ognisty blask przebiegał po twarzach, lgnął do gładkich pni palm, krzesił jasne iskry z metalowych półmisków, stojących na cienkich matach. Ten nieznany awanturnik ucztował jak król. Małe grupki ludzi obsiadały ciasnym kołem drewniane misy, brunatne ręce krążyły nad śnieżnymi stosami ryżu. Karain, siedząc trochę na uboczu na prostej ławie, wspierał spuszczoną głowę na dłoni, a obok niego jakiś młodzieniec improwizował rapsod sławiący jego mądrość i odwagę. Pieśniarz kiwał się rytmicznie, tocząc rozgorzałym wzrokiem; stare kobiety dreptały

w koło z półmiskami, a biesiadnicy siedzący na piętach podnosili głowy i wsłuchiwali się z powagą, nie zaprzestając jedzenia. Pieśń triumfu rozbrzmiewała w nocnym powietrzu; strofy płynęły ponure i ogniste jak myśli pustelnika. Uciszył je gestem: „Dosyć!”. W oddali chichotał puszczyk rozkoszujący się głębokim mrokiem w gąszczu listowia; nad głowami biegały po dachu jaszczurki, nawołując się łagodnie; suche liście w strzesze szeleściły; gwar zmieszanych głosów potęgował się nagle. Karain, powiódłszy w krąg trwożnym spojrzeniem, jak człowiek zbudzony nagłym poczuciem niebezpieczeństwa, rzucał się w tył i pod wzrokiem starego czarownika uspokajał się stopniowo, podejmując z szeroko rozwartymi oczami wątpliwość swoich marzeń. Wszyscy wokół śledzili zmianę w usposobieniu pana; gwar ożywionej rozmowy przycichał jak fala na płytkim brzegu. Władca jest zamyślony! I ponad szmer zniżonych głosów wybijał się tylko lekki szcęk broni, jakieś pojedyncze, głośniejsze słowo, wyraźne i samotne, lub też poważne brzęknięcie wielkiej miedzianej tacy.

### III

Odwiedzaliśmy go przez dwa lata w krótkich odstępach czasu. Polubiliśmy go, nabraliśmy do niego zaufania, podziwialiśmy go prawie. Spiskował i przygotowywał wojnę, wykazując tyle cierpliwości i przezorności, taką świadomość celu i wytrwałość, o jakie nie posądziłbym

go nigdy, zważywszy na jego rasę. Wydawał się nieustraszony wobec jutra i zdradzał w planach bystrość, ograniczoną jedynie przez głęboką ignorancję w stosunku do pozostałego świata. Staraliśmy się go oświecić, ale na próżno; nie był w stanie pojąć, jak nieodparte są siły, którym się przeciwstawiał; nic nie mogło ostudzić zapału, z jakim gotował się do walki o swoje prymitywne ideały. Nie rozumiał nas i odpowiadał argumentami, które doprowadzały do rozpaczliwej dziecinnej swą przebiegłością. Ciasnota jego pojęć była nieuleczalna. Czasem błyskała w nim mroczna, żarząca się wściekłość – ponure a niejasne poczucie doznanej krzywdy – i skupiona żądza gwałtu, niebezpieczna u Malaja. Szaleństwo porywało go jak natchnienie. Pewnego razu, gdy rozmawialiśmy długo w noc w kampongu, skoczył nagle na równe nogi. Wielkie, jasne ognisko paliło się w gaju; światła i cienie tańczyły między drzewami; wśród cichej nocy migały nietoperze, wylatując spod gałęzi jak roztrzepotane płatki zgęszczonego mroku. Karain porwał miecz z rąk starego zausznika, wyciągnął z pochwy, aż świsnęło w powietrzu i wbił ostrze w ziemię. Nad cienką, prostą klingą srebrna rękojeść, oswobodzona z uwięzi, słaniała się przed Karainem jak coś żywego. Cofnął się o krok i głuchym głosem przemówił dziko do wibrującej stali:

– Jeśli jest cnota w ogniu, w żelazie, w ręce, która cię wykula, w słowach nad tobą wyrzeczonych, w pragnieniu mego serca i w mądrości twoich twórców – odnieśmy razem zwycięstwo!

Wyciągnął miecz z ziemi i popatrzył wzdłuż ostrza. „Bierz!” – rzekł przez ramię do starego zausznika. A ów, siedząc bez ruchu na piętach, obtarł ostrze rogiem saronga, wetknął z powrotem broń do pochwy i w dalszym ciągu piastował ją na kolanach, nie spojrzawszy w górę ani razu. Karain uspokoił się nagle i zasiadł na powrót z godnością. Od tej chwili daliśmy pokój perswazjom, pozostawiając go na drodze wiodącej ku chwalebnej porażce. Wszystko, co można było dla niego zrobić, polegało tylko na jednym: pilnowaliśmy, aby proch był dobry i strzelby zdatne do użytku choć stare.

Ale gra stała się w końcu zbyt ryzykowna i chociaż my sami, prowadząc ją tak często, niewiele robiliśmy sobie z niebezpieczeństwa, pewni wiele szanowni ludzie, siedzący zacisznie po biurach, rozstrzygnęli za nas, że ryzyko jest zbyt wielkie i że odbędziemy już tylko jedną jedyną wyprawę. Rozpuściwszy, jak zwykle, wiele mylnych pogłosek co do celu naszej podróży, wymknęliśmy się spokojnie i po krótkiej przeprawie wjechaliśmy do zatoki. Był wczesny ranek i zanim jeszcze kotwica sięgnęła dna, szkuner został otoczony przez łódki.

Pierwszą rzeczą, którą usłyszeliśmy, była wiadomość, że tajemniczy zausznik Karaina umarł przed kilku dniami. Nie przypisywaliśmy tej nowinie wielkiego znaczenia. Zapewne, trudno było sobie wyobrazić Karaina bez nieodstępnego towarzysza, ale człowiek ów był stary, nigdy do żadnego z nas słowa nie przemówił – nie słyszeliśmy chyba wcale dźwięku jego głosu; i przyzwyczailiśmy

się patrzeć nań jak na coś pozbawionego życia – jak na część przepychu, wśród którego żył nasz przyjaciel – jak na miecz, który za nim noszono, lub czerwony parasol z frędzlami pojawiający się w czasie uroczystych objazdów. Karain nie odwiedził nas po południu, jak to czynił zazwyczaj. Przed zachodem słońca przesłał nam pozdrowienie i dar złożony z owoców i jarzyn. Nasz przyjaciel płacił nam jak bankier, a gościł nas jak król. Oczekiwaliśmy go do północy. Na rufie pod płóciennym dachem brodaty Jackson brząkał na starej gitarze i śpiewał ohydny akcentem stare pieśni hiszpańskie, a młody Hollis i ja, rozciągnięci na pokładzie, graliśmy w szachy przy świetle latarki. Karain nie pojawił się jednak. Następnego dnia byliśmy zajęci wyładowaniem towaru i dowiedzieliśmy się, że radża jest niezdrów. Oczekiwane przez nas zaproszenie nie nadeszło. Przesłaliśmy przyjazne pozdrowienia, lecz bojąc się przeszkodzić jakimś tajemnym obradom, nie opuściliśmy statku. Na trzeci dzień wczesnym rankiem wyładowaliśmy już wszystek proch i karabiny, a także i sześciofuntową mosiężną armatkę z łożyskiem, którą zakupiliśmy wspólnie na dar dla naszego przyjaciela.

Po południu uczyniło się parno. Strzępiaste brzegi czarnych chmur wyglądały zza pagórków; niewidzialne burze krążyły naokoło, warcząc jak dzikie bestie. Przygotowaliśmy szkuner do odjazdu, aby odpłynąć następnego ranka o świcie. Dzień cały prażyło zatokę bezlitosne słońce, okrutne i blade, rozżarzone do

białości. Na łądzie panowała martwota. Wybrzeże było puste, osady zdawały się wyludnione, dalekie drzewa stały w nieruchomych kępach jak namalowane; biały dym z niewidzialnych ognisk snuł się nisko u brzegu niby opadająca mgła. Nad wieczorem trzech zaufanych ludzi Karaina, przybranych w najpiękniejsze stroje i uzbrojonych od stóp do głów, przybyło w czółnie, wioząc skrzynkę z dolarami. Posępni byli i przybici; mówili nam, że przez pięć dni nie widzieli swojego radcy. Nikt go nie widział! Uregulowaliśmy wszystkie rachunki, po czym wysłannicy Karaina, podawszy nam kolejno ręce w głębokim milczeniu, zeszli jeden po drugim do łodzi i ruszyli ku brzegowi. Siedzieli blisko siebie w jaskrawych strojach, zwiesiwszy głowy; złote hafty kaftanów błyszczały olśniewająco, gdy się oddalali, sunąc po gładkiej wodzie; żaden z nich nie obejrzał się ani razu. Przed zachodem warczące chmury zdobyły szturmem pasmo wzgórz i zsunęły się, kotłując, po wewnętrznych zboczach. Wszystko zniknęło: czarna, wirująca mgła wypełniła zatokę, a w środku niej szkuner kołysał się tam i sam w zmiennych podmuchach wiatru. Pojedynczy wystrzał piorunu zagrzmiał z siłą, która – zdało się – rozniesie w kawałki pierścień wysokich wzgórz; ciepły potop spłynął na ziemię. Wiatr zamarł. Sapaliśmy z gorąca w dusznej kabinie; z twarzy lał się nam pot; zatoka syczała jak gotująca się woda; ulewny deszcz zlatywał w prostopadłych kolumnach ciężkich jak ołów; chlustał o pokład, lał się z rej, bulgotał, szlochał, pluskał, szemrał w ślepym

mroku. Lampka paliła się ciemno. Hollis, obnażony do pasa, leżał na skrzyni bez ruchu, z zamkniętymi oczami, niby obdarty trup; u jego głowy Jackson brzdąkał na gitarze i podśpiewywał wśród westchnień ponurą dumkę o beznadziejnej miłości i oczach jak gwiazdy.

Wtem usłyszeliśmy na pokładzie przerażone głosy krzyczące wśród deszczu, śpieszne kroki rozległy się nad naszymi głowami i Karain ukazał się nagle we drzwiach kabiny. Nagie jego piersi i twarz połyskiwały w świetle; przemoczony sarong oblepiał mu nogi; w lewej ręce trzymał kris w pochwie, a kosmyki mokrych włosów, wymykając się spod czerwonego turbanu, zwisały mu na oczy i policzki. Przesadził próg jednym susem, oglądając się przez ramię jak człowiek ścigany. Hollis odwrócił się prędko na bok i otworzył oczy. Jackson przycisnął wielką dłoń do wibrujących strun i brzęk zamarł. Wstałem z krzesła.

– Nie słyszeliśmy okrzyknięcia waszej łodzi! – zawołałem.

– Łodzi?... Ależ ten człowiek dostał się tu wpław – wycedził Hollis na swojej skrzyni. – Spójrzcie na niego!

Patrzyliśmy w milczeniu na Karaina, a on stał z obłąkanymi oczami, dysząc ciężko. Woda ciekła z niego, zbierała się w ciemną kałużę i biegła ukośnie przez podłogę kabiny. Usłyszeliśmy na pokładzie głos Jacksona, który wyszedł, aby spędzić naszych malajskich majtków ze schodków wiodących do kabiny; kłął i groził wśród głośnego plusku ulewy. Wielkie wzburzenie panowało



na pokładzie; wartownicy oszaleli ze strachu na widok ciemnej postaci wskakującej przez burtę – jakby wprost z morskiej otchłani – i zaalarmowali całą załogę.

Wreszcie Jackson wrócił z pokładu gniewny i obsypany kroplami deszczu błyszczącymi na brodzie i włosach, a Hollis, jako najmłodszy z nas, przybrał pozę pełną niedbałej wyższości i rzekł, nie poruszając się wcale:

– Dajcie mu suchy sarong – ten mój – wisi tam w łazience.

Karain położył na stole kris, rękojeścią ku sobie, i wykrztusił kilka słów zduszonym głosem.

– Co takiego? – spytał Hollis, który nic nie usłyszał.

– Usprawiedliwia się, że wszedł z bronią w rękę – rzekłem oszołomiony.

– Cóż to za ceremonie... Powiedz, że wybaczymy to naszemu przyjacielowi... w taką noc – cedził Hollis. – Co się stało?

Karain wsunął przez głowę suchy sarong, mokry opuścił na ziemię i wystąpił z niego. Wskazałem mu drewniany fotel – jego fotel. Usiadł na nim wyprostowany. „Ha!” – wyrzekł silnym głosem; krótki dreszcz przebiegł szerokie jego barki. Spojrzał niespokojnie przez ramię, zwrócił się do nas, niby chcąc coś powiedzieć, ale wytrzeszczył tylko dziwne, jakby ośleple oczy i obejrzał się znów. Jackson wrzasnął: „Hej tam, baczność na pokładzie!”. Usłyszał słaby odzew i wyciągniętą nogą zatrzasnął drzwi kabiny.

– Teraz już wszystko w porządku – oświadczył.

Wargi Karaina drgnęły z lekka. Od jaskrawej błyskawicy zapaliły się nagle wprost niego dwa okrągłe okienka, i błysnęły jak para okrutnych, fosforyzujących oczu. Wydało się nam przez chwilę, że płomień lampy rozsypał się w brunatny proch, zaś lustro nad kredensem wyskoczyło zza pleców Karaina niby gładki płat sinego światła. Huk piorunu zbliżył się i zawisł nad nami; szkuner drżał cały, a wielki głos miotał wciąż straszne groźby, oddalając się w przestwór. Przez krótką chwilę wścickły deszcz siekła o pokład. Karain powiódł z wolna wzrokiem od twarzy do twarzy i cisza stała się tak głęboka, że usłyszeliśmy wyraźnie oba chronometry tykające w mojej kabinie – jeden za drugim – z nie słabnącym pośpiechem.

Wszyscy trzej, dziwnie wytrąceni z równowagi, nie byliśmy w stanie zdjąć oczu z Karaina. Stał się zagadkowy, wrzucił nas swoją tajemnicą, która wygnała go w noc i burzę i zmusiła do szukania ucieczki w kajucie szkunera. Nikt z nas nie wątpił, że patrzymy na zbiega, mimo całej dziwaczności takiego przypuszczenia. Miał twarz wynędzniałą, jakby nie spał całymi tygodniami; schudł, jakby od kilku dni nic nie jadł. Policzki jego zapadły się, oczy wgłębiły; muskuły piersi i ramion drgały z lekka jak po wyczerpującej walce. Prawda, że ciężką miał przeprawę aż do szkunera, ale z jego twarzy wycierało znużenie innego rodzaju, gniewna i trwożna udręka jak po zmaganiu się z myślą, z pojęciem – z czymś nieuchwytnym, nie dającym ani chwili wytchnienia – z niczym,

z cieniem – niezwyciężonym i nieśmiertelnym, który zeruje na życiu. Znaliliśmy owo coś równie dobrze, jak by krzyknął nam jego nazwę. Pierś Karaina rozszerzała się raz po raz; zdawało się, że nie może opanować uderzeń serca. Miał przez chwilę władzę właściwą opętanym – władzę budzenia ciekawości, bólu, politowania i przerażająco bliskiego odczucia rzeczy niewidzialnych, rzeczy mrocznych i niemych, które otaczają ludzką samotność. Oczy jego błędziły czas jakiś bez celu i zatrzymały się wreszcie. Rzekł z wysiłkiem:

– Uciekłem!... Przeskoczyłem częstokół jak zbieg po klęsce! Biegłem w ciemnościach. Woda była czarna. Zostawiłem go wołającego na brzegu czarnej wody... Zostawiłem go stojącego samotnie na brzegu. Płynąłem... wołał za mną... płynąłem...

Drżał od stóp do głów, siedząc bardzo prosto i patrząc przed siebie. Kogo zostawił? Kto go wołał? Nic nie wiedzieliśmy. Nie mogliśmy zrozumieć, o co chodzi. Powiedziałem na chybił trafił:

– Opanuj się!

Dźwięk mego głosu zdawał się go krzepić; zeszywniał nagle, nie zwracając na mnie zresztą uwagi. Przez chwilę nasłuchiwał, czy jakby czekał na coś, potem znów mówił dalej:

– On tu przyjść nie może – dlatego uciekłem do was. Do was, ludzi o białych twarzach, którzy gardzicie niewidzialnymi głosami. On nie może znieść waszej niewiary i waszej siły.

Zamilkł. Po chwili usłyszeliśmy cichy okrzyk:

– Ach! Jakże silni są ludzie bez wiary!

– Nie ma tu nikogo prócz ciebie, radžo, i nas trzech – rzekł spokojnie Hollis, który leżał wciąż nieruchomo z głową wspartą na łokciu.

– Wiem – rzekł Karain. – Nie gonił tu za mną nigdy. Przecież mądry człowiek zawsze mi towarzyszył. Ale odkąd zmarł stary mędrzec, który znał moją niedolę, słyszałem tamten głos każdej nocy. Zamknąłem się na wiele dni w ciemnościach. Dochodziły mnie strapione szepty kobiet, szum wiatru i bieżącej wody, szcęk broni w ręku wiernych mężów, ich kroki – i jego głos!... Blisko... tuż przy uchu! Poczujęm go dziś koło siebie... oddech jego owionął mi szyję. Wyskoczyłem na dwór bez krzyku. Wszyscy naokoło spali spokojnie. Pobiegłem ku morzu. Leciał u mego boku bez najmniejszego szmeru, szepcząc, szepcząc dawne słowa – szepcząc mi do ucha dawnym głosem. Wbiegłem w morze; popłynąłem ku wam z krisem w zębach. Ja, zbrojny mąż, uciekłem przed tchnieniem – do was. Weźcie mnie do waszego kraju! Stary mędrzec umarł, a z nim przepadła moc jego słów i zaklęć. I nikomu nie mogę nic powiedzieć. Nikomu. Nie ma tu nikogo, kto by był na to dość wierny i dość mądry na to, aby wiedzieć! Tylko przy was, niewiernych, nieszczęście moje rozplywa się, jak mgła pod okiem dnia.

Zwrócił się ku mnie.

– Pójdę za tobą! – krzyknął, hamując głos. – Za tobą, który znasz tyłu spomiędzy nas. Chcę rzucić ten kraj – mój lud... i jego – tam!

Wyciągnął drżący palec, wskazując na chybił trafił gdzieś poza siebie. Ciężko nam było znieść widok tej zatajonej niedoli. Hollis patrzył w niego z uwagą. Zapytałem łagodnie:

– Gdzie jest niebezpieczeństwo?

– Wszędzie poza tym miejscem – odrzekł ponuro. – Gdziekolwiek tylko się znajdę. On czeka na mnie na ścieżkach, pod drzewami, przy łożu, gdy kładę się na spoczynek – wszędzie – tylko nie tutaj.

Powiódł wzrokiem po małej kabinie – po malowanych belkach i przybrudzonej politurze grodzi; obejrzał wszystko naokoło, jakby odwołując się do obcości i lichoty tego otoczenia, do nieporządnej zbieraniny nieznanymi przedmiotów, co należą do zagadkowego życia pełnego wysiłku, zabiegów, niewiary – do potężnego życia białych ludzi, które toczy się twardo i nieodparcie po krawędzi zewnętrznego mroku. Wyciągnął ramiona, jakby chciał objąć to życie wraz z nami. Czekaliśmy. Wiatr i deszcz ustały; cisza nocna wokół szkunera była tak głucha, jakby nas otaczał martwy świat złożony w grobie z chmur na wieczny spoczynek. Spodziewaliśmy się, że Karain zacznie mówić. Od chęci zwierzenia się drgały mu wargi. Są ludzie, którzy twierdzą, że Malaj nie odezwie się szczerze do białego człowieka. To błąd. Żaden człowiek nie przemówi do swego pana; lecz do